

# Jezioro Karakul, Pamir, Chiny

*Migawka*

Trzeba robić tak, by zbyt długo nie wpatrywać się w ten piękny krajobraz. Wszystko bowiem powszednie, a ciągła przyjemność przestaje być przyjemnością - jak kiedyś pisał Wolter. Dlatego podnoszę wzrok co jakiś czas i wtedy ponownie zastygam w osłupieniu.

Przedemną rozpościera się jezioro, którego turkusowe wody rozlewają się pomiędzy okoliczne szare wzgórza. A ponad tym wszystkim dumnie wynoszą się ośnieżone siedmiotysięczniki, dotykając niewinnie białymi szczytami ciemnogramatowego nieba. A ja, niczym nic nie znaczące ziarenko piasku, pośród tej scenerii przycupnąłem przy niewielkiej lepiance, która stała się na kilka dni moim domem tutaj, na tym pustkowiu.



Fot. Ryszard Kulik

Gospodynie, którymi są dwie siostry w wieku 11 i 13 lat uwijają się na podwórku, zbierając suche odchody zwierząt. Na tej wysokości to jedyny dostępny opał zasilający ogień w prymitywnej kozie. Za chwilę będziemy pić słoną herbatę z mlekiem jaka - prawdziwy specjał w tej części świata. Ale dziewczyny nie odpoczywają długo - ciągle krzątają się wokół, a gdy zrobią już co trzeba, to siadają i wyszywają kolorowe wzory.

Rodzina liczy 5 osób, ojciec - 60-letni Kirgiz codziennie rano wsiada na osiołka razem ze swoimi dwoma kilkuletnimi synami i wyrusza gdzieś na pastwiska, doglądać stad zwierząt. Sulejman, bo tak się nazywa, mówi o sobie dumnie „Kyrgyz”, na co ja odpowiadam w podobnym stylu „Polak” - wskazując na siebie. Tak oto wyglądają nasze nieliczne konwersacje. Gospodarz jest muzułmaninem - budzi się wcześniej rano i mamrocze modlitwy, jednocześnie wykonując pokłony w stronę Mekki. Nie byłoby może w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że wszyscy śpimy w jednym „łożu” - szerokiej platformie, zajmującej ok. połowy powierzchni jedynego pomieszczenia w lepiance. Poza tym w środku oprócz kozy do gotowania i ogrzewania domu oraz kilku podstawowych sprzętów, nie ma nic. Spać kładziemy się wcześniej, razem z zapadnięciem zmroku, a wstajemy, kiedy wstaje słońce. Tak oto życie ludzi tętni tym samym rytmem, co życie przyrody wokół.



Fot. Ryszard Kulik

Posiłki przygotowywane przez dziewczyny są równie proste i skromne, jak całe życie moich gospodarzy. Jemy chleb z masłem, ser, jogurt z mleka jaka oraz słodkie i tłuste ciasto. Dość monotennie - warzywa i mięso są od święta. Tak czy owak, jedzenia starcza dla wszystkich, jest smaczne i pożywne. Po jedzeniu Sulejman beka przeciągle i ostentacyjnie, zerkając jednocześnie porozumiewawczo na mnie. Rozumiem, że powinienem się odwzajemnić, ale im bardziej się staram, tym mniej mi wychodzi - moje beknięcia są marnym echem tego, co zaprezentował Sulejman. Niemniej jednak pomrukuję po swojemu i daję do zrozumienia, że wszystko było pyszne. Na deser dzielę się trzema jabłkami, które mi pozostały z pobytu w mieście. Momentalnie przechwytuje je najstarsza córka i rozdziela między ojca i rodzeństwo, rezygnując ze swojej części. Nikt nie protestuje, nikt się nie spiera o swoją część - wszyscy znają tutaj swoje miejsce i swoje obowiązki.

Przez kilka dni obserwuję tę rodzinę i trudno mi wyjść z podziwu. Nikt nie podnosi tutaj głosu: Sulejman, mimo drobnej postury, ma jakąś wewnętrzną siłę i spokój. Mówi wolno i niewiele. A dzieci robią dokładnie to, co do nich należy. Najmłodsi chłopcy oczywiście głównie bawią się, ale też codziennie wyruszają z ojcem, ucząc się przy okazji tego, co to znaczy być mężczyzną.

W tym bajkowym, choć ze względu na wysokość trudnym dla życia miejscu wszystko zależy od zwierząt - to one są gwarancją przeżycia tej i innych rodzin. Zwierzęta dają wszystko - od jedzenia, po ciepło pochodzące ze spalania ich odchodów. Nic się tutaj nie marnuje. Niczego więcej też nie potrzeba. Czy moim gospodarzom czegoś brakuje?

Nigdy w życiu nie widziałem większej biedy. Nigdy w życiu nie widziałem też większego bogactwa.

Ryszard Kulik